

Magrat Wiesław Krosnodębski  
1988 r.

-1-

64A Jerzy Gillern.

Archiwum Uchodźcze 11  
ARCHIWUM UCHODŹCZE

Nazywam się Jerzy Gillern. Urodziłem się w 1923 roku. Pochodzę z rodziny oficerskiej. Ojciec mój był przedwojennym kapitanem. Walczył we Lwowie w czasie wojny 1939 roku. Ja byłem wychowywany w polskiej szkole przedwojennej, która całą młodzież starała się wychować, i to się udało, w duchu wielkiego patriotyzmu. Chodziłem do gimnazjum Tadeusza Rejtana. Pierwszą klasę licealną kończyłem u Stefana Batorego i wtedy zastała mnie wojna.

Jako uchodźca wojenny opuściłem Warszawę wraz z matką i siostrą. Warszawę opuściliśmy około 6 września. Była to ewakuacja rodzin wojskowych z Zielonki pod Warszawą, gdzie wtedy mieszkaliśmy.

Znaleźliśmy się po długiej tułaczce i wielu przygodach w miasteczku Mizocz nad granicą sowiecką, gdzie w stancy Kopuł kwaterowaliśmy. 17 września weszli Sowietci i od razu przystąpili do swojej roboty tzn. wszystkich "bieżących" zaczęli rejestrować, m.in. i nas.

Ponieważ czuliśmy że coś jest nie w porządku / matka zwłaszcza miała bardzo dziwne przeczucia / wyjechaliśmy zaraz po tej rejestracji do Wilna, gdzie matka miała rodzinę. I w ten sposób znalazłem się w Wilnie w enklawie, gdzie od października był jedyny zakątek w Polsce, gdzie nie panowali Rosjanie ani Sowietci, gdyż Wilno zostało przekazane fikcyjnie Litwinom. To był jak gdyby pewien oddech przed dalszymi nieszczęściami i perypetiami, które nas wszystkich czekały.

W Wilnie chodziłem do gimnazjum im. Adama Mickiewicza i w czerwcu 1940 roku zdałem tam maturę. Oczywiście jest ona wypisana w języku litewskim z Pogonią jako godłem państwowym. Zaraz po tym wyjechałem do obozu dla uchodźców wojennych w Rakiszkach nad łotewską granicą. W Rakiszkach miał wielkie majątki hrabia Przeździecki - Polak i własnym sumptem utrzymywał kilkuset Polaków. Dawał im wikt, kwatery, dbał o nich, po prostu jak ojciec utrzymywał. Jak pracowaliśmy u niego na polu, żeby jemu się czymś odwdziaczyć, to pomimo to, że chcieliśmy mu to zrobić jako gratisową robotę / forma ~~wdzięczności~~ wdzięczności / pan hrabia zawsze nam wypłacał za dniówkę po 2 Lity i pilnował żeby każdy wziął.

Ale ta idylla trwała bardzo krótko, gdyż władza sowieckie zajęły Litwę, prezydent Smetona musiał uciekać i pan hrabia nie tylko, że nie mógł już nas utrzymywać ale po prostu musiał dbać o własną skórę. Co się z nim stało nie wiem, w każdym razie pana hrabiego władze aresztowały / gdzieś zniknął / , a nas zapakowano w samochody i wywieziono do innego obozu w Żagarach też pod łotewską granicą, ale bardziej na zachód.

No i w tych Żagarach przebyłem całą zimę z 1940 na 1941 rok. Na wiosnę w 1941 roku władze sowieckie zarządziły w obozie rejestrację wszystkich więźniów. Kto się nie zarejestruje było wiadomo, że czekają go za to kary. Musiał się zarejestrować każdy. Poszedłem na tę rejestrację. Pierwsze pytanie było: "Poczemu chcesz przyjąć obywatelstwo sowieckie?", więc ja na to powiedziałem, że ja nie chcę przyjąć obywatelstwa Związku Radzieckiego, dlatego, że Warszawiakiem, mam rodzinę po drugiej stronie granicy i chcę wrócić do siebie, do rodziny. Wtedy mi powiedzieli, że jak się nie rejestruję, czekają mnie takie to a takie kary. W tej sytuacji zwałem z tego obozu. Zresztą to nie był obóz strzeżony. To były kwatery ze stałą rejestracją, apelami i meldunkami. Uciekłem więc do swojej ciotki w Wilnie.

Dużą pomoc otrzymałem ze strony polskich kolejarzy. Okazuje się, że cała kolej przedwojenna na Litwie kowieńskiej była obsługiwana przez Polaków. Byli to wspaniali ludzie. Pomagali nie tylko mnie, ale i wielu innym Polakom i oficerom przy ucieczkach, przerzutach. W każdym razie kolejarz ze stacji Joniskis / Joniszki po polsku / od razu się mną zainteresował, nawet nie miałem na bilet. Przywieźli mnie do Szabel /?/. Zawiałowca stacji dał mi obiad, przewiózł mnie w specjalnym przedziale do Kowna, w Kownie też mnie ugościli na stacji.

Znalazłem się w ten sposób w Wilnie. Już byłem w rękach swoich. W Wilnie żeby ciotki nie obciążać swoją osobą, bo musiałem się jakoś utrzymać, podjąłem pracę w majątku Landwarów pod Wilnem. I tam pracowałem jakiś czas, / Landwarów to była stacja kolejowa, węzłowa między Kownem a Grodnem i było połączenie kolejowe również z miejscowością Troki /aż wreszcie zaprosił mnie



mój znajomy z obozu w Żagarach, który miał majątek koło Oszmiany. Jak Niemcy zajęli te tereny to on ten majątek odzyskał i wrócił tam, i zaprosił mnie do siebie. No i ja pobyłem pod tą Oszmianą kilka lat. Orałem, siałem, nauczyłem się wiejskich robót. Sam jeden pracowałem, bo on / znajomy / lubił sobie raczej popijać bimber a ja te wszystkie roboty robiłem no i taka symbioza była dla obu stron korzystna.

Proboszcz z Graużyszek pod Oszmianą ks. Jaskólski późniejszy kapelan od "Szczerbca" ps. "Kordecki" zlecił mnie i koledze jakąś robotę, żeby pomierzyć chatę w innej wsi, zobaczyć jaki tam układ stodoł, szop, jakie przejścia, dróżki itd. No i ja to z kolegą zrobiłem i księdzu daliśmy to. Po około dwóch tygodniach okazało się, że mieszkańcy tej chaty zostali w nocy wystrzelani. Ale jeden służył w policji litewskiej, a jego ojciec był przewodniczącym sielsowietu za czasów rosyjskich - narazili się jakiejś ludności, tak że będąc jeszcze młodym byłem pod wrażeniem okropności, które wtedy tam się działy. Ale to był jakgdyby mój chrzest w późniejszym moim życiu. Zaraz po nowym roku 1944 ks. Jaskólski podał mi hasło, którego już dzisiaj nie pamiętam i podał mi wioskę gdzie i u kogo mam się stawić i że mam się zgłosić do oddziału "Szczerbca". Gospodarz mój odwiózł mnie do tej wioski, tam się zgłosiłem i tam jeszcze złapałem kilku ochotników i zgłosiliśmy się do oddziału "Szczerbca w Taboryszkach". Był to koniec stycznia 1944 roku, dokładnej daty nie pamiętam.

Porucznik ~~Fro~~<sup>Fr</sup> / o tym, że się tak nazywa dowiedziałem się dopiero teraz, wtedy to był dla mnie "Szczerbiec" / przyjął nas kilku ochotników w pomieszczeniu w czworakach dawnego majątku w Taboryszkach. Leżał na podłodze. My żeśmy się jemu zameldowali.

On wygłosił do nas mowę, że to nie są przelewki, że chodzi o śmierć i życie, że możemy się jeszcze wycofać, czy my się decydujemy itd. Odpowiedziałem mu, że się poczuwam do obowiązku jako Polak i jako syn oficera, wychowany w duchu miłości do Ojczyzny, że obowiązkiem moim jest wstąpienie w te szeregi. Fruk mnie zaakceptował i kazał mi się zameldować, zostałem wcielony do plutonu Joego, tj. Jana Kasprzyckiego, który ma swoją tablicę w pasażu u św. Antoniego. Później był wywieziony i po wszystkich tych perypetiach zginął w Archangielsku.

W tymże plutonie "Joego" byłem jakieś 2 może 3 tygodnie - dość krótko. Chodziliśmy po placu w Taboryszkach, ćwiczyliśmy. Karabin miałem pożyczony. Jak na warty chodziłem pożyczano mi karabin, jak jechaliśmy na akcję typu szukanie broni po chatach bicie tzn. kara. To była cała moja działalność u "Szczerbca". Wtedy pluton "Joego" nie brał udziału w żadnych akcjach. Mnie się to nie podobało, bo chciałem zdobyć sobie broń i bardziej być czynnym. Akurat przez Taboryszki przechodził z 6-tej kompanii brygady - jeszcze nie xx 6-tej, wtedy nazywał się oddział Tonka - mój kolega z Wilna Zygmunt Płazejewicz ps. "Zygmunt". To jest znana postać z innych publikacji m.in. o "Łopaszce" ~~z~~ "Zygmunt" zobaczył, że ja tam chodzę i mówi co tu robisz, chodź ze mną będziesz miał za kilka dni wszystko co trzeba. Więc wraz z "Zygmuntem" poszedłem do Froga / ~~chyba powinno być Fruka~~ / odmeldować się, prosić o pozwolenie przeniesienia mnie z 3-ej brygady do 6-tej. Fruk się zgodził i poszedłem z "Zygmuntem" już jako żołnierz 6-tej brygady. W tej brygadzie służyłem aż do jej końca a nawet jeszcze dłużej niż był jej faktyczny koniec. Zaraz po wyjściu z Taboryszek już jako żołnierz "Zygmunta"



miałem pierwszy przedsmak ważniejszych wydażeń. Pierwsza rzecz - w jakimś zaścianku "Zygmunt" kazał nam wejść do chaty, oteo czył ją i tam było 6-ciu młodych ludzi, którzy denuncjowali polskich ziemian wobec band tamtejszych. Tamte bandy paliły, rabowały mordowały i oni mieli wyrok polskiego podziemia i my mieliśmy ten wyrok wykonać. Więc my wykonaliśmy to i pojechaliśmy zaraz na podwodach saniowych.

Pyt.: Był pan młody. Co pan czuł wykonując ~~za~~ te wyroki? To była rola kata przecież.

Odp.: Ja muszę się przyznać, że nie odczuwałem wyrzutów sumienia. Po prostu byli to dla mnie ludzie, którzy gdyby dłużej żyli, to nie dziesiątki, a może setki Polaków straciłoby przez nich życie. I po prostu taka była wtedy sytuacja. Nie było innego wyjścia, takich ludzi trzeba było likwidować.

Pyt.: Ale co pan czuł?

Odp.: Czułem jakąś podniosłość tego co ja robię. Miałem wtedy 20 lat. Nic specjalnego nie odczuwałem.

Pyt.: Człowiek, który osobiście wykonał 17 wyroków śmierci powiedział mi - każde zabicie jest bardzo ciężkim przeżyciem.

Odp.: Niewątpliwie przeżycie było bardzo ciężkie, ale w toku dalszych wydażeń w ogóle już o tym nie myślałem, musiałem żyć na bieżąco, nie zastanawiać się nad tym.

Pyt.: To była pierwsza śmierć przez pana zadana?

Odp.: To nie była przeze mnie zadana, bo tam nas weszło do tej izby 6-7 i "Zygmunt" powiedział - ty tego, ty tego - a ja akurat nie byłem wyznaczony, ale stałem, patrzyłem jak oni to wszystko załatwiają. Każdy dostał z pistoletu i my wyjechaliśmy stamtąd. Ofiarami byli Polacy, biedota wiejska, która starała się / może mieli jakieś złości do Polaków /. Trudno powiedzieć, że

to byli Polacy, bo to było tak, pod Wilnem mówiono - tutejsi jesteśmy. Mówili językiem ani białoruskim, ani polskim, zbliżonym bardziej do polskiego niż do białoruskiego, to się mówiło taka prosta "haworka". Ale to nie był język ani polski, ani e czysto białoruski. A kim oni się czuli to trudno powiedzieć. Może nie zdawali sobie sprawy kim oni są nawet może i tak było. Są tacy ludzie bez świadomości żadnej,

Pyt.: Czy można powiedzieć, że im bardziej biedniejszy, społec-  
taryzowany tym słabsze więzi z Polską?

Odp.: Nie, nie można, to są indywidualne wypadki. Ludzie stano-  
wią mozaikę, nie było prawidłowości bo byli ludzie, którzy po  
polsku prawie nie umieli mówić a czuli się Polakami i faktycz-  
nie walczyli za Polskę, byli też tacy, którzy mówili po polsku,  
byli Polakami a tę Polskę sprzedawali. Można powiedzieć, że wię-  
kszość Polaków była Polakami ale byli i tacy, których trudno  
było określić, na jakiej podstawie oni działają. Bo tę Polskę  
zdradzali, dużo takich było.

Pyt.: Czy tam był element zdrady dla korzyści materialnych, czy  
innych?

Odp.: Tak, tylko. To była taka wioskowa szajka bandycka, która  
nie chciała za dużo pracować, tylko kosztem innych żyć. Byli  
tacy, bo wiadomo tacy są wszędzie. Z tym, że tamci o których ja  
mówiłem poprzednio i o których teraz mówimy to oni mieli na su-  
mieniu wiele polskich rodzin, które zostały zamordowane, domy  
spalone, zniszczone doszczętnie. Dalej tolerować ich nie można  
było, dlatego że to by pociągnęło nieobliczalne skutki. Trzeba  
było tę sprawę przerwać. Wtedy "Zygmunt" dostał rozkaz i go

wykonał. Ja to widziałem. Byłem jednym z tych, którzy weszli do tej izby i tę całą sprawę widziałem. Tam jeszcze stali wartownicy wokół budynku. Weszło nas 6-7. Ja byłem między nimi. Nie wiem czy jako rezerwowi, czy kto? Wziął mnie "Zygmunt". Widziałem to na własne oczy. Potem pojechaliśmy na podwodach saniowych pod Miedniki gdzie "Zygmunt" miał zrobić akcję - rozbroić Niemców. Niemcy stacjonowali w miasteczku Miedniki w jednym z baraków. Było ich duże zgrupowanie. W takiej całej masie kwaterowali z tym, że jedna kwatera była trochę na uboczu - odosobniona. To było w dawnej szkole przy szosie Wilno - Oszmiana. Pokusiliśmy się aby tę szkołę rozbroić / Niemców w szkole / z zaskoczenia, cichaczem bo nie mieliśmy siły żeby atakować całość. Przecież nas było 11-tu - jedna drużyna, dwie sekcje. Sekcja to było 4-5 osób to wtedy w początkach tak było. A drużyna to było ok. 10 a nas było 11-tu wszystkich razem z "Zygmuntem". Pojechaliśmy pod Miedniki. Na folwarku Chupie zatrzymaliśmy się na dwa dni pełne doby. Oczywiście była pełna służba wartownicza. Na szczęście nikt nie wszedł, bo musieliśmy go zatrzymać. Ale z folwarku już nikogo nie wypuszczaliśmy na zewnątrz. Jeden z naszych ps. "Ostróg" to był miejscowy, więc on wychodził w przebraniu cywilnym między swoje rodziny, znajomych. Starał się przebadać sytuację w Miednikach, jak sytuacja Niemców, jak się zachowują itd. Po dwóch dniach wieczorem 8 marca, w nocy z 8 na 9 marca, wzięliśmy ze sobą furmanów z podwodami, z tego folwarku Chupie, wyjechaliśmy w nocy i dojechaliśmy do cmentarza. Tam trzech kolegów zostało pilnować tych furmanów, a reszta poszła na akcję. Nas poszło 8-iu. Z tym, że "Zygmunt" nie miał żadnej sygnalizacji, żadnej możliwości żeby się porozumiewać



więc wszystko zaplanował wg zegarka. Powiedział o której godzinie jedno sanie mają zajechać pod tę szkołę. O tej i o tej godzinie ma druga grupa pójść. My z cmentarza poszliśmy na przełaj przez pola do szosy Oszmiańskiej. Zaraz za szosą była była ta szkoła gdzie tych 30-tu Niemców kwaterowało. Zatrzymaliśmy się tam troszeczkę, za taką rozwaloną szopą, gdzie tylko jedna ściana była i obserwowaliśmy. Punktualnie o 12-tej w nocy "Zygmunt", "Skoczek" i "Biały" przeskoczyli szosę i poszli na barak, mieli zdjąć wartownika. Gdyby im się nie udało cichaczem zdjąć wartownika to mieli zadanie robić tam w tej szkole jatki łapać co się da i odskakiwać. Za 5 minut "Wiktor" - Lucjan Minkiewicz miał z nami czterema wyjść. Ta pierwsza trójka poszła a my przycupnęliśmy i czekaliśmy 5 minut. Za 5 minut my też poszliśmy. "Skoczek" był Bydgoszczaninem, który był wcielony do Wermantu<sup>h c</sup> i uciekł stamtąd. Dobrze mówił po niemiecku. Pierwszy się wślizgnął do sionki i zobaczył, że niemiecki wartownik okutany w słomę, w jakichś butach grzeje się przy piecu i dokłada polanka do piecyka. Karabin stał oparty o ścianę, więc "Skoczek" od razu karabin wziął, Niemcowi od razu z tyłu przyłożył pistolet i powiedział - kochany, powiedz mi jakie tam jest rozmieszczenie w tym baraku, gdzie, kto kwateruje, rozkład<sup>k</sup> sal itd. Ten Niemiec powiedział jemu, że naprzeciwko po drugiej stronie korytarza w dwóch pokojach jest 12-tu Niemców z Wermantu<sup>h c</sup>. Frontowcy - najgroźniejsi byli dla nas. Było ich po 6-ciu w każdym pok<sup>o</sup>ju. Na lewo w dużej sali jest 17-tu z organizacji To<sup>d</sup>ta ~~też~~ też uzbrojeni ale byli mniej groźni. Na prawo w ostatnim pokoju jest niemiecki lejtnant /?/, kwateruje pojedynczo



w pokoju. Przez te 5 minut to się wszystko dzieje. Od razu "Zygmunt" zdecydował żeby najpierw te pokoje z <sup>h g</sup>Wermahtem załatwić. Najgroźniejsza jest ta 12-ka. Otworzyli drzwi z jednego pokoju i tu Niemców zgubiła dokładność i pedanteria. Tuż przy drzwiach stały stojaki z bronią a Niemcy spali w głębi pokoju. Wyciągnięcie stojaka na korytarz to była jedna chwila. Przeszukano jeszcze wartownika, wepchnięto do pokoju i kazano siedzieć cicho, bo jak nie, to wrzuci się granat. Otworzyli drugi pokój i to samo zrobili. W tym momencie dopiero weszła ta druga grupa z "Wiktorem", ja byłem w tej grupie. Ta 3-ka załatwiła tych 12-tu. My później weszliśmy do sali <sup>d</sup>Tótców. Oni nie byli nastawieni bojowo. To było takie pół wojsko, pół nie wojsko, chociaż byli uzbrojeni. Zabraliśmy im broń. Jeden Niemiec tak się przestraszył, że dostał gwałtownego bólu żołądka i "Zygmunt" kazał mi go wyprowadzić przed barak. Ja do tej pory zachodzę w głowę - skąd taka troska o tego Niemca? Przecież mógł nawet pod siebie zrobić. Chodziło przecież o akcję. No ale taki był wydany rozkaz. Wyprowadziłem go pod barak. Niemiec oczywiście pod karabinem z ręką na spuście. Niemiec był bardzo przestraszony i ja go nie rozumiałem co on mówi. On głośno lamentował, może myślał, że ja go chcę zastrzelić. Głos / pewnie Niemca / niósł się bardzo daleko. Bałem się, że ktoś usłyszy z dalszych, niemieckich kwater, wobec tego dołożyłem Niemcowi parę razy kolbą i z powrotem zagoniłem go na salę. To bardzo krótko trwało. Tam rewidowano kuferki, przy czym kilku było Poznaniaków, którzy mówili po polsku, myśmy im proponowali żeby się do nas przyłączyli, ale oni nie chcieli. W tamtym czasie jeszcze par-

tyzantka nie pokazała swojej siły, więc oni się wahali, nie wiedzieli co i jak.

Pyt.:Może to była kwestia ochrony rodzin?

Odp.: Może kwestia ochrony rodzin. Trudno mi powiedzieć. Szukaliśmy po kuferkach, szukaliśmy krótkiej broni, jakichś granatów i papierosy braliśmy bo u nas nie było papierosów. Chłopcy nie mieli co palić a Niemcy mieli papierosy więc braliśmy od nich. Jeden z tych Poznaniaków powiedział / czystą polszczyznę /, że to są jego prywatne rzeczy i że on tego kuferka nie otworzy. Na dyskusje nie było czasu, bo to wszystko działo się bardzo szybko, więc "Wiktor" dołożył mu kolbą i natychmiast otworzył ten kufer bez żadnych dyskusji. Tę salę z Tołt<sup>d</sup>owcami obejrzelśmy i na tym wizytę żeśmy zakończyli. W tym czasie zajęchały sanie, które znowu miały wyznaczony czas przyjazdu na zegarek a tam jeszcze ktoś został dalsze sanie pilnować na tym cmentarzu.

Po akcji zapakowaliśmy broń na sanie, wynieśliśmy granaty, skrzynki z amunicją. Pozostał jeszcze niemiecki oficer, który kwaterował w ostatnim pokoju. Mnie "Zygmunt" postawił w korytarzu do pilnowania drzwi od tych obrabianych dwóch pokoi i dużej sali. Sam wszedł z drugim kolegą do tego niemieckiego oficera. Niemiecki oficer okazuje się przeżywał wielką rozterkę, bo to wszystko słyszał a nie wiedział jak ma się zachować. Bał się bo był sam. Ubrał się w mundur. Nie zapiął munduru. Chciał ocalić pistolet i schował go pod szafę. Jak "Zygmunt" wszedł do pokoju to on stał koło szafy i nie przeszkadzał w rewizji. Kolega zaczął świecić latarką pod łóżkiem, szukał tam jeszcze czegoś. Niemiec bał się, że on zobaczy ten pistolet



i nogą chciał go wkopać głębiej pod szafę. Ten ruch został zauważony i pistolet znaleziono. "Zygmunt" tym pistoletem trzasnął go z góry w twarz, na odlew. Oczywiście pistolet był odbezpieczony wobec czego wystrzelił w sufit. Ja od razu jak usłyszałem strzał to poleciałem szybko do tego pokoju. Stałem w drzwiach i zobaczyłem taki widok : niemiecki oficer stojący na baczność z twarzą rozkwaszoną, a "Zygmunt" z dymiącym pistoletem przy nim. "Zygmunt" zabrał temu oficerowi jego dokumenty wojskowe i stąd wiem, że ten oficer nazywał się lejttnant /?/ Otto Blane /?/. Jego dokumenty krążyły po drużynie przez długi czas. Różne dopiski były robione. Wąsiki ala Hitler domalowaliśmy mu na tym zdjęciu. Stąd pamiętam jak on się nazywał. Koniec akcji to był taki. "Zygmunt" zaczął formować drużynę a ponieważ ja stałem najbliżej sań, więc kazał mi nimi jechać na cmentarz. Tu zaczęła się moja rozpacz. Jak wyjechałem w tę śnieżną biel, wszędzie biało. Nie znałem terenu. Nie wiedziałem dokąd jadę. Śnieg pruszył, zasypywał ślady. Noc gwiazdzista, mroźna, księżyc świeci, ale nie ma żadnych punktów orientacyjnych. Nie wiedziałem gdzie tego cmentarza szukać w prawo czy w lewo. Zapytałem furmana, chłopaka, który był właścicielem podwoły: czy trafisz na cmentarz?. On mówi oczywiście, że trafi bo jest tutejszy. No i dojechaliśmy szczęśliwie do tego cmentarza. Za jakieś 10-15 minut półbiegiem doszła cała drużyna i odjechaliśmy z miejsca akcji. Ten chłopak, co jest charakterystyczne, zaraz po akcji powiedział, że chce do nas dołączyć. Dostał karabin zdobyczny bo właściwie jemu się należało. Przecież brał udział w tym wszystkim. Przyjął pseudonim "Nowy" i był naszym partyzantem, dzielnym i fajnym chłopakiem wiejskim. A podwołę odesłał przez innych furmanów do swojej wioski. Od-

skooczyliśmy potem do wsi Mieszkucie. Zastaliśmy tam już wielu ochotników z Wilna. Ci to już od razu dostali broń, bo mieliśmy zdobytą. "Zygmunt zaczął formować pluton i gdzieś tak na początku, może w połowie marca drużyna przekształciła się w dobrze uzbrojony pluton. Zdobyliśmy wtedy dwa pistolety maszynowe, jeden RKM, 30 KB, kupę granatów i amunicji, co było wtedy dla nas wielkim sukcesem. To był początek.. Tą bronią można było zdobywać dalszą.

Pyt.: Panie Jerzy, powszechnie jest wiadomo, że polska partyzantka zwalczała partyzantkę sowiecką na skutek takich czy innych przyczyn. Chciałbym aby pan coś na ten temat powiedział, tak jak pan to zdołał zaobserwować.

Odp.: Jak ja to odczuwam, to ~~ka~~ geneza tkwi jeszcze wcześniej i głębiej niż sama partyzantka. Sowieci jak weszli do Wilna, to od razu byli nastawieni wrogo do większości Polaków. Oczywiście byli nieliczni Polacy, którzy komunizowali, sympatyzowali, ci to byli "charoszyje".

Pierwsza rzecz to zadali nam nóż w plecy 17 września, Polska walczyła i została napadnięta ze wschodu, chociaż miała zawarty sojusz, który w ogóle nie był respektowany, został złamany. Od tyłu nas zaszli i uniemożliwili nam dalszą walkę. Następnie ich poczynania w Wilnie - bo ja w tym czasie byłem w Wilnie - pierwsza wywózka była już w roku 1939. Wywieziono wtedy najbardziej eksponowane wileńskie osobistości. Pamiętam jaka była atmosfera w Wilnie w tym czasie. Chodziłem do maturalnej klasy, był rok 1940. W Wilnie ludzie bali się u siebie nocować. Nie wiem dlaczego uważano, że jak będzie się nocować poza domem, to będzie się bezpiecznym. To była zabawa w kotka i myszkę. Nie wiadomo było gdzie kto zajedzie. Pamiętam bezsenne noce, które spędzałem w mieszkaniu swojej ciotki. Zajeż-



działy budy pod domy i zabierano całe rodziny. Nawet nie dali nic ze sobą zabrać. Wszyscy siedzieli i tylko nasłuchiwali czy te kroki zbliżają się do naszych drzwi czy do sąsiednich. A kiedy odjechały to była chwila ulgi, ale zaraz przyjeżdżały następne. Była ogólna psychoza. Człowiek nie był pewien ani dnia ani godziny. To życie na dłuższą metę po prostu niemożliwe ~~do~~ do wytrzymania dla normalnych ludzi, przecież w każdej chwili groziło, że wezmą i wywiozą niewiadomo dokąd. Ludzie zaczęli suszyć suchary z chleba, moczyli je w roztopionym smalcu. Mieli przygotowane całe worki tych sucharów. Wszystkie rodziny to miały bo w razie jak będą wywozić, to pierwsza rzecz bierze się ten worek i na jakiś czas jest zabezpieczenie. Jest co włożyć do ust żeby z głodu nie zemdlać w czasie transportu. To było straszne. Później nastąpiła druga wielka fala przed atakiem Hitlera na Związek Radziecki. Co tam się działo to trudno wyrazić w kilku słowach. Całe rodziny koczowały w lasach pod Wilnem. Z pierzynami, poduszkami, dziećmi... Ja w tym czasie pracowałem w Landwarowie, to wiedziałem co się dzieje w okolicznych lasach. Ludzie tylko wpadali do Wilna po coś do jedzenia i biegli do lasu. A Żydzi z czerwonymi opaskami zorganizowali na przódce jakieś straże. Czy to była milicja trudno to określić. To był sąd ostateczny. Chodzili, łapali, czesali te lasy, wyłapywali ludzi jak zające.

Pyt.: Jaki element wchodził do tych oddziałów milicyjnych z opaskami?

Odp.: Jak ja pamiętam, to było najwięcej takich żydowskich twarzy. Młodych ~~aktywistów~~ ~~aktywistów~~ - Żydów. Ale niewątpliwie byli tam również Polacy i Litwini, ale to były jednostki. W każdym

dużo tam było Żydów, to muszę powiedzieć, bo to mi się najbardziej utrwaliło. Nie żebym chciał kogoś dyskredytować. Czyli był już stworzony lęk i jakaś nienawiść. Bagaż krzywd już narastał i narastało uczucie niechęci do Związku Radzieckiego. Trudno powiedzieć żeby ich ktoś kochał. Przeciwnie im dłużej panowali u nas, tym bardziej narastał bilans krzywd. I muszę powiedzieć charakterystyczną rzecz. Jak wszedł Niemiec, nasz wróg, do Wilna, przecież to był okupant i wróg, mimo to przez pierwszy okres ludzie odetchnęli, bo już te wagony kolejowe ze stacji nie odchodziły. Te transporty stały na bocznicach słychać było jak ludzie śpiewali pieśni religijne / w tych wagonach /. Nie wolno było podać ani wody, ani chleba, nic. Konwojent ze "sztykiem" stał i wrzeszczał "uchadi" . A ludzie z dziećmi, kobiety wyciągały ręce przez zakratowane okna. Te widoki zniknęły. Sytuacja na jakiś czas wróciła do normy. Po wejściu Niemców przez jakiś tydzień, dwa, ludzie odetchnęli bo mogli spokojnie spać we własnych mieszkaniach. Oczywiście to było przejściowe. Niemiec pokazał swoje pazury w czasie dalszego panowania. Ale pierwsze uczucie jak weszli Niemcy, to było uczucie ulgi. Niestety muszę to powiedzieć, tak było. A Litwini nawet wywieszali takie napisy: "Hitler wyzwolicieł".

Przecież nie tylko Polaków wywozili, ale również całe transporty z Litwy kowieńskiej szły. Przez Wilno, Landwarów gdzie ja wtedy pracowałem na stacji kolejowej. Szły całe transporty z Litwinami. Rodziny litewskie też wywozili, całe setki transportów tam poszło. To co mówiłem dotyczyło Wilna, ale cały teren naokoło Wilna był również dotknięty takimi represjami. Każdy Polak, który posiadał jakiś majątek, nawet jakiś niewiel-



ki folwarczek, żył na względnie dostatnim poziomie, to był wrogiem i takiego się likwidowało. Wywożono go, majątek rozdawano. Tworzono sielsowiet, a cała rodzina polska została wywieziona. Jeśli ocalała to doznała wielkich nieszczęść, niedoli. Na całej Wileńszczyźnie tępili Polskość. Na terenach położonych bliżej granicy wschodniej, to wytępilli Polaków doszczętnie.

W późniejszym okresie tworzyły się polskie oddziały partyzanckie i oddziały radzieckie. Oni tworzyli też polskie oddziały. My uważaliśmy się za obrońców tamtejszej ludności, ta ludność też nas za takich uważała. Oczywiście musieliśmy rekwirować żywność, musieliśmy zdobywać jakieś prowianty. Ale nie robiliśmy tego rabunkowo. Robiliśmy to poprzez sołtysów, przez branie od każdego gospodarza małych ilości. Natomiast partyzantka radziecka brała żywność przeważnie od Polaków i od lepiej sytuowanych gospodarzy, a nie byli to jacyś burżuje. Byli to zwykli wieśniacy, tylko mieli lepsze gospodarstwa, dzięki swej pracy. On był wrogiem i wszystko mu zabierali, zostawiali go bez żywności. Jeszcze potrafili go spalić i nawet zabić. Czyli my mieliśmy inny stosunek do ludności. Tamta partyzantka nie budziła wśród ludności życzliwego oddźwięku. Uważali ich za wroga i bali się ich jak ognia. Bo jak rozpatrujemy wzajemne układy: polska partyzantka - radziecka partyzantka, to trzeba powiedzieć, że polska partyzantka starała się i była obrońcą ludności, natomiast tamta starała się niszczyć wszystkich, którzy byli trochę lepiej sytuowani i czuli się Polakami. To już oni wiedzieli kogo należy niszczyć jako wroga. I robili to bardzo skutecznie i systematycznie. Jak jeszcze byłem pod Oszmianą, to to pamiętam, że widać było jak płoną łuny gdzieś tam na prawo, na lewo. W nocy było widać łuny. To był efekt

wizyt partyzantki radzieckiej. Dlatego uważaliśmy, że to są raczej bandy rabunkowe. Nie z racji ich poglądów politycznych ale z racji ich postępowania. Bo przecież niszczyli, palili, mordowali. Na tym polegała ta różnica. Jako klasyczny przykład rabunkowej / podkreślam to słowo / działalności partyzantki radzieckiej, a właściwie band, tak ich trzeba nazwać, mogę podać taki przykład. Koło miejscowości Butrymance mieliśmy z nimi potyczkę. My polowaliśmy na nich, bo dostaliśmy wiadomość, że rabowali po okolicznych wsiach. W wyniku tej potyczki część zabiliśmy a część się wycofała. Zostawili swoje dwa wozy, część taborów, których nie zdołali ze sobą uprowadzić, bo zastrzeliliśmy im konie. I co na tych wozach znaleźliśmy? Była tam odzież damska i tego typu rzeczy, które w ogóle w partyzantce się nie przydają, np. przedmioty domowe, jakie, w tej chwili trudno mi wyliczyć. Ale w każdym razie to co znaleźliśmy tam to nie był sprzęt wojskowy, ani o charakterze wojskowym. To były rzecz w ogóle nie przydatne dla nich. Były one zrabowane z jakichś wiosek.

Po omawianej powyżej akcji na Miedniki, nastąpiła akcja już większymi siłami brygady na Ostrowiec Wileński, który został zdobyty po kilkugodzinnej walce. W Ostrowcu został ranny dowódca oddziału - Tońko - Adam Boryczka, który potem został odwieziony do szpitala i przestał oczywiście dowodzić brygadą. Dowództwo objął "Konar". Jako partyzant przeżyłem wiele akcji, których chyba nie będę opisywał szczegółowo. Mogę tylko wyliczyć: Wormiany, Kaszety nad rzeką Pielasą, Lelance, wyżej opisywane spotkanie z "przyjaciółmi" radzieckimi, Korsaki, Butrymance. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, ale było ich razem dość dużo. Po tym wszystkim chcę jeszcze nawiązać do



spraw naszych stosunków ze Związkiem Radzieckim. Przed akcją na Wilno nasza brygada stacjonowała w rejonie Ejszyszek tj. jakieś 80 km od Wilna. Następnego dnia mieliśmy zjawić się na wyznaczonym nam odcinku żeby atakować Wilno. Niestety nie doszliśmy do Wilna, doszliśmy do wsi Wołkorabiszki pod Wilnem, to był bardzo forsowny marsz. Maszerowaliśmy całą noc i cały dzień. Padaliśmy z nóg. Doszliśmy do tych Wołkorabiszek i tam zostaliśmy zatrzymani. W ataku na Wilno 6-ta brygada udziału nie brała. Natomiast wtedy mieliśmy akcję w Szwajcarach koło Dołbian, gdzie nasza brygada rozbroiła 360 Niemców - maruderów. Wtedy już wszystko było przemieszane. Wojska niemieckie się wycofały, a nasza Armia Krajowa była przemieszana z wojskiem radzieckim. My stacjonowaliśmy w jednej wsi, oni przejeżdżali drogą. Nie wiadomo było jak my ze sobą te kontakty ułożymy. Jako prości żołnierze nawet pomachiwaliśmy sobie. Nikt nikogo nie ruszał. Tak było przez jakieś kilka dni. Nawet oni zapraszali naszych oficerów, a my ich. Jakies kontakty były nawiązane. Dopiero gdy oni zaprosili całe nasze dowództwo, ze wszystkich brygad, m.in. naszego dowódcę "Konara", wtedy naszych rozbroili. No i wtedy dopiero wiedzieliśmy już czarno na białym, że żadnej współpracy z naszymi wojskami, czyli z Armią Krajową, nie będzie z uwagi na ich nastawienie. Skoro nasze całe dowództwo rozbroili... Wiedzieliśmy również, że w Wilnie został rozbrojony gen. "Wilk" razem ze swoim szefem sztabu Marianem Cetysem ps. "Sławek". On jeszcze żyje, mieszka w Warszawie. Tylko zarządził mobilizację, ~~a-właściwie-mobilizację-zarządził~~ brygady, która przeszła z Wołkorabiszek do Puszczy Rudnickiej. Nad nami krążyły sowieckie samoloty. Zrzucały ulotki, żeby

się rozchodzić do domów. Nas kresowiaków te slogany nie przekonywały. Odczytywaliśmy to z uśmiechem. Wiedzieliśmy, że na to nie można się dać nabrać. Takie to było naiwne. W Puszczy Rudnickiej zostaliśmy otoczeni przez wojska radzieckie. Wycofaliśmy się do Puszczy Grodzieńskiej. Tam było większe zgrupowanie. Były oddziały Kalenkiewicza - "Kotwicza", "Jaremy", "Prawdźica", "Borsuka", "Ślaski". Nie wiedzieliśmy co mamy począć. Byliśmy zdezorientowani. Nawet nasze dowództwo nie wiedziało co począć. Nie mieli żadnego planu. Wydali rozkaz - część żołnierzy jeśli chce może zdawać broń i iść do cywila, do Wilna. Część, która chce trwać niech zostaje przy dowódzach. Ja należałem do tej grupy, która zdecydowała się przejść przez front na tereny polskie. Chcieliśmy iść do Warszawy, ale nie doszliśmy, dotarliśmy tylko na Podlasie, w rejon Siemiatycz. Pod dowództwem "Zygmunta" wyszliśmy w końcu lipca, przeprawiliśmy się, z dużymi przygodami, przez Niemen. Odcinek od Niemna aż pod Siemiatycze szliśmy półtora miesiąca. Doszła nas połowa. Ponieważ Warszawa padła w tym czasie, nie było co dalej iść / doszliśmy z bronią /. Tam "Zygmunt" nawiązał kontakt z miejscową siatką Armii Krajowej, por. ~~Swida~~ Swida był na tym terenie dowódcą, z Lachówki. On nas rozkwaterował po melinach. Każdy już u swojego gospodarza zadomowił się, oczywiście pomagaliśmy w pracach gospodarskich, ale mieliśmy swoją broń, swojego dowódcę, na każde wezwanie byliśmy gotowi. Przypadkowo bo tak trzeba powiedzieć, ja byłem tym, którego w obławie władze bezpieczeństwa, jeszcze nie powiedziałbym polskie to jeszcze były radzieckie pod polską przykrywką, złapały jako jednego z nas. W tym czasie władze radzieckie robiły na tamtych terenach wielkie aresztowania. Robili wywózki całe rodziny zamyka-



no i wywożono. Tam po wsiach mieli swoich konfidentów, nielicznych wprawdzie, ale bardzo aktywnych i bardzo szkodliwych, robili listę kto jest wrogiem, kogo trzeba wywieźć, kogo trzeba złapać, itd. Ktoś wskazał oczywiście na nas, którzy na tych melinach siedzieli, wileńskich partyzantów, że to są niebezpieczni ludzie. Akurat trzeba trafić, że mnie złapano, nie miałem szczęścia. Chata była najbliżej drogi, przyjechali, w nocy weszli do chaty, ja tam byłem to mnie złapali. Innych kolegów nie złapali. Siedziałem w Biełsku Podlaskim, a jeszcze muszę powiedzieć, że mnie aresztowało polskie wojsko, w polskich mundurach, tylko że po polsku nie umieli powiedzieć. Po prostu byli to przebierańcy z orzełkami na czapkach, w polskich mundurach, ale to byli przebierańcy, w ogóle nie byli Polakami. W Bielsku siedziałem 3 dni. Tam również polski oficer, który też słowa po polsku nie umiał, to był Rosjanin, przebrany za polskiego oficera, pierwszy raz mnie tam przesłuchiwał. Spisywał mój życiorys. Ja mu plotłem co ślina na język przyniesie. Właściwie nie wiem dlaczego, bo gdybym mówił prawdę, byłoby łatwiej zapamiętać to wszystko. Ale ja mu plotłem 3 po 3. Co sobie wymyśliłem to mu gadałem. Zresztą potem źle na tym wyszedłem, bo potem za dwa lata jak mnie pytali w łagrze w Ostaszkowie o to wszystko, to się kupy nie trzymało. Ale to jest dalsza sprawa. Potem siedziałem w Białymstoku ok. dwóch tygodni. W dużej celi stłoczono nas jak śledzie w beczce. Różny element tam siedział i wieśniacy, i starzy, i młodzi, no kobiet nie było, ale jeden drugiemu nie dowierzał. Każdy się bał cokolwiek mówić, patrzył na drugiego bykiem, bał się, że tamten go będzie sypał. Rzeczywiście były wtyczki. Ja już trochę

nauczony starałem się trzymać język za zębami i jak mnie tam wypytywali, towarzysza niedoli, co i jak, ja coś tam bąkałem byle jak najmniej powiedzieć..Ale to wszystko było na nic, aha jeszcze uwaga jak nas traktowano. Bardzo ostro i wrogo nas traktowano. I to byli już prawdziwi Polacy - polska milicja z opaskami, sformowana jako pierwsza. Bardzo ostro popychano nas kolbami, odmawiali nam przyniesienia wody, pomocy chorym, w ogóle nie traktowali nas jak bydła. Nie wiem co to był za element, to byli młodzi ludzie o odrażającym zachowaniu, bardzo wulgarni i skorzy do bicia, popychania, szturchania. Oni nas konwojowali. To chyba było w połowie listopada, gdy całe więzienie, może nie całe ale większość więzienia, bo trudno powiedzieć, że całe, wyprowadzano salami do samochodów, wieziono na stację kolejową i ładowano do wagonów. To były krótkie wagony, nic w nich nie było, pusta podłoga, bez słomy, ściany i sufit. Wpychano nas do wagonów, ryglowano i zamykano. Nas do wagonu wepchnięto 71. Było tak ciasno, że nie można było nawet siedzieć. W początkowej fazie to połowa wagonu siedziała w kucki, a połowa stała i tak na zmianę. Ale to się udało utrzymać dzień czy dwa. Później to już każdy kładł się na ziemię jeden na drugiego, kto był słabszy to pod spód, nie do pomyslenia. Jako toaleta to w rogu wagonu był wywiercony taki otwór wielkości może szklanki. To był jedyny sposób trzymania higieny, ale to też było niemożliwe, było brudno, straszny smród panował w całym wagonie. I co dalej. Jak nas zamknięto w Białymstoku, to tydzień czasu jechaliśmy tym wagonem. Nie podano nam nic do jedzenia, ani co gorsza nic do picia. A to jest najgorsze jak człowiek kona z pragnienia. Jechaliśmy na Wilno przez Połock, orientowaliśmy się po stacjach, bo było je widać przez szpary w deskach. To już tam mróz zapanował



i na ścianach zaczął wytwarzać się, od naszych oddechów, szron: Więc myśmy ten szron skrobali i jedli żeby trochę tej wilgoci złapać. Zachowanie Ruskich było straszne. Jak się człowiek odezwał, a jakiś konwojent szedł, to słyszało się: ty taki owaki. Wiązanki rzucali. Na każdym postoju wagony były opukiwane młotkami. Stukali po wagonach, sprawdzali czy deski nie są naderwane. Wchodzili na dach, pod wagonem też sprawdzali, wszędzie patrzyli czy nie jest naderwana deska - tak nas pilnowali. Tak jechaliśmy przez tydzień czasu. Później na jakiejś stacji otworzono wagony i dano nam jedzenie. Co to było za jedzenie? Dano jakieś dwa bochenki chleba na wagon, kawałek słoniny / może 1 kg, taki jak kartka A4 / i paczkę herbaty. Przy czym, ponieważ nie mieliśmy ani noża, ani kubka, ani wrzátku to nie mogliśmy podzielić się tym. Bo wszystkie metalowe rzeczy takie jak klamerki przy paskach, szelkach obcinali. Chleb łamaliśmy między sobą, natomiast tę słoninę to każdy starał się possać, odgryźć kawałek, ale to było w ogóle nie możliwe. A z tą herbatą to był cyrk. Przecież nie było x ani piecyka, ani kubka, ani wody żeby zagrząć. Ale oni mieli normę żeby wydać, więc wydali. Ta herbata to poszła na tytoń. Niektórzy palacze zrobili z jakichś papierków skręty i próbowali palić. Ogień to mieli z tzw. "katiusz". W starej łusce była wata i ostry szpikulec wystawał, i był krzemień. Oni stąd mogli palić te "papierosy".

Wywlekli z każdego wagonu po jednym człowieku, ja miałem to szczęście, że mnie wzięli. Mogłem chociaż rozprostować kości i łyknąć świeżego powietrza. Z wiadrem wody zaprowadzili mnie do jakiejś pompy stacyjnej. Przyniosłem tę wodę do wagonu.

Ludzie nachylali się jeden przez drugiego, każdy był spragniony. Porozlewalić więcej tej wody niż wypili. Potem wagon został zamknięty i jechaliśmy dalej drugi tydzień. Niektórzy leżeli w stanie agonalnym, drętwi, już bez życia. Jeden staruszek, który jechał z nami, w wagonie, nazywał się Władysław Stan /?/, ja to pamiętam, dlatego podaję bo może jakaś rodzi-  
na się znajdzie, która powiąże te fakty. Ten staruszek zmarł po kilku dniach u nas w wagonie. Z tych trudów, z głodu, braku wody, z tego wszystkiego. Możliwe, że został zaduszony. Jedni na drugich przecież bezwładnie leżeli. I ten staruszek zmarł i jego ciało było cały czas w wagonie. My chcieliśmy go oddać konwojentom, żeby zabrali ciało z wagonu. Oni nie traktowali nas jak ludzi, tylko jako liczbę. Wzięli siedemdziesiąt odin do wagonu i dołżno byt' siedemdziesiąt odin. A czy żywy czy miortwy to wsio rawno. I ten nieboszczyk z nami jechał do Ostaszkowa. Jeszcze musieliśmy go sztywnego jak drąg, bo był mróz, zanieść do obozu i zdaliśmy go wg liczby. Takie czisło zdaliśmy z tym staruszkim. Nie jechaliśmy prostą drogą. Bo prostą drogą to by byłoprzez Wilno, Połock, ~~E~~ Wielkie Łuki, Ostaszków. My jechaliśmy: Wilno, Połock, potem byliśmy w Wielkich Łukach i zamiast jechać na Ostaszków, skęciliśmy na Witebsk. Stąd wiem, że byliśmy w Witebsku, bo pytałem jednej dziewczuchy, która koła obstukiwała. Zapytałem: graždanka, kakoj gorod, odpowiedziała: Witebsk. Jeździliśmy tam i spowrotem po bocznicach, nie wiadomo gdzie. W końcu wylądowaliśmy w Ostaszkowie. Chcę powiedzieć co po drodze widziałem. Kupe transportów wojskowych na stacjach. Ci mi<sup>u</sup>li pierwszeństwo przejazdu. Poza tym na trasach między stacjami, całe pasy przy torach, po



obu stronach były zarzucone urządzeniami fabrycznymi, które tam zwożono i bez ładu i składu zrzucono. Były tam różne maszyny, przewody, rury, silniki, wentylatory, wszystko co się dało z niemieckich fabryk zdemontować, jak też wywieźć z polskich ziem zachodnich. Nie, nie można powiedzieć, żeby demontowali w jakiś planowy sposób. Wyrywali, łamali, rzucali przypadkowo bez żadnej segregacji, przy rowach. Te setki kilometrów, które przejechaliśmy do Ostaszkowa, to po obu stronach torów widziałem w śniegu te sprzęty. Jak wracałem z Ostaszkowa, już po obozie, to to samo leżało tylko bardziej połamane, zardzewiałe, rozszabrowane. Wrywano wszystko co komu było potrzebne. Cały ten potencjał przemysłowy, który można było wykorzystać, wyrzucony został w błoto. Nie wiem jaki był w tym cel, ale to było faktem. Dojechaliśmy do Ostaszkowa już w grudniu, to był chyba 6-ty, czy 8-my, dokładnie nie pamiętam. Coś mi się tak majaczy, że to był 6-ty. Otworzyli wagony. Nie byliśmy wszyscy ubrani. Ja to byłem w takiej koszuli i bluzie. To była letnia bluza. Niektórzy bardziej przeźorni, których brano z domów, to mieli jakieś cieplejsze ubranie. Ja byłem tylko w tej bluzie i nawet nie miałem czapki. A tu na dworze 40 stopni mrozu. Wywalili nas z wagonów. Jak przechodziłem pod wagonem na drugą stronę toru, to jak chwyciłem za szynę ręką, to aż ze skórą oderwałem, taki był mróz. Następnie była zbiórka, liczenie ludzi, czy liczba się zgadza. To trwało dość długo, potem marsz do Ostaszkowa. Cały dzień człowiek był na mrozie, niemalże w koszuli i z gołą głową, ogoloną w dodatku. Ja miałem głowę odmrożoną, jeden strup mi z niej zszedł. Później przez długi czas cierpiałem na tę dolegliwość. Tego naszego nieboszczyka i nieboszczyków z innych wagonów, gdzie było ich więcej,

nieśliśmy do obozu. Tam znowu w tym obozie odbyło się liczenie i segregacja, a to wszystko na 40-to stopniowym mrozie. Tak, że dym z komina stoi jak słup, nie rusza się. Jak nas wreszcie dali do baraków, poszła wiadomość, że tam jest pompa. Wszyscy rzucili się do niej, żeby pić wodę. Każdy był odwodniony, bo tyle czasu nic nie jadł, nic nie pił. Przede wszystkim wody byliśmy spragnieni. Przy tej pompie działy się dantejskie sceny, jak się ktoś dorwał do wiadra, to pił niezliczone ilości tej wody. Rozlewali dużo, ale dużo też pili. To był powód, że wiele osób zmarło z powodu nadmiaru wody po takim długim niedowodnieniu. Jaka była liczba zmarłych trudno powiedzieć. Czytałem monografię o Ostaszkowie to tam podają, że 20 osób zmarło. Nie jestem pewien czy 20 czy mniej. W każdym razie nie liczba jest ważna, ważny jest fakt. Mnie to minęło z uwagi na odmrożoną głowę. Wtedy właśnie zajmowałem się głową, mocno odmrożoną. Dopiero później poszedłem zaspokoić pragnienie. To było pierwsze spotkanie z Ostaszkowem. Rozlokowano nas tam w barakach. Ponieważ nie dla wszystkich starczyło miejsca, na kwaterę zaadaptowano także salę stołówek. W każdym z baraków było ok. 200 osób. Barak miał 30 m długości, 7-8 m szerokości. Jak się wchodziło do baraku, to po obu stronach były dwie sale z piętrowymi łózkami / pryczami /. Na dole kładło się 50 osób, na górze i w drugiej sali też tyle samo. Razem było od 1750 do 2000 Polaków w tym czasie w Ostaszkowie. Było ok. 800 kobiet, bo były 4 baraki. Śmiertelność była bardzo duża szczególnie w początkowym okresie. Później śmiertelność spadła widocznie te organizmy, które były zdolne przetrwać już się



zasymilowały. Były chude kościotrupy, ale żywe. W pierwszym okresie była tragiczna ilość zgonów i ci ludzie padali jak muchy. Jak się ich chowało, to była zima. Mrozy straszne, nie można było nawet dołu wykopać. Łopaty nie można było wbić nawet w ziemię. Zresztą wszystko było zasypane śniegiem. Takiego trupa wywalało się na dwór. Jak on zamarł na kołek to dwóch ludzi i konwojent wynosili go i chowali za obozem. Jak drąg się niosło trupa. Ja raz byłem przy takim pochówku, wyznaczono mnie do tego. Próbowaliśmy kopać, ale nie udało się tak ziemia była zmarznięta. Rozgrzebało się trochę śniegu, wrzuciło się i przysypało trochę śniegiem. Tak wyglądały pochówki. To był paśnik dla wilków. Na wiosnę pozostawały same kości. W tym miejscu widać było pole porozgryzanych kości. Dopiero w lecie można było wykopać grób, ale zimowe pochówki to był paśnik dla wilków. A teraz kilka słów o samym obozie, o jego rozplanowaniu, wielkości. Jeszcze za drutami były wydzielone, ale w specjalnej strefie, 3 baraki dla tzw. uprzywilejowanych. To byli pół więźniowie pół nie, którzy mogli poruszać się po terenie. Kto to był? To byli Niemcy, fachowcy, którzy pracowali w warsztatach, garażach, elektrowni. To byli starzy łagierszczycy, którzy zostali sprawdzeni i dopuszczono ich do jakichś funkcji. Oni np. mogli nas konwojować bez broni. To byli przeważnie nie-Polacy. Żeby nas upokorzyć to takie funkcje w obozie jak: kucharz, chleborez, z którymi wiązały się lepsze warunki bytowania, przydzielano Niemcom. Chodzili dumni, butni, często byli upasieni, żeby nas Polaków upokorzyć. Tak samo ci konwojenci, z tych uprzywilejowanych łagierszczyków, to byli albo Biało-

rusinów, albo Rumuni, którzy zostali sprawdzeni. Oni wszyscy mieszkali w 3-ch barakach za drutami ale przy drodze i musieli tylko na noc zjawić się na apel, odliczyć, a w ciągu dnia to mogli swobodnie przechodzić przez bramę tzw. prachadnaja bez konwoju, przepustek. To byli ludzie pół wolni. W naszym obozowym świecie to byli po prostu wybrańcy, prominenci. Nas Polaków ulokowano w 4-ch barakach, z uwagi na brak kwatier. Zamieniono dawną salę stołówki na pomieszczenie dla łagierszczyków, dla nas, dla Polaków. Było więc 5 baraków męskich tj. ok. 1000 osób i w specjalnej strefie ogrodzonej drutem 4-y baraki dla kobiet. One były wydzielone ale nie było zakazu przechodzenia. Kobiety i mężczyźni mogli poruszać się wszędzie. Mężczyzna mógł pójść do damskiego baraku, a kobiety mogły chodzić u nas po terenie. Tak więc to wydzielenie baraków nie było, wtedy gdy tam przebywałem, przestrzegane do końca. Jakie były budynki oprócz tych baraków? Była kuchnia, obok była tzw. chleborezka, gdzie Niemiec Karol x urzędował, wielkie panisko, bo on dzielił chleby, więc zawsze był syty. Ważył i rano otrzymywało się swoją porcję. Naprzeciw kuchni był plac - tzw. dreworubnia, gdzie rąbano drzewo potrzebne do palenia w kuchni, w łaźni, w elektrowni, bo tam też się paliło drzewem i jeszcze przy kuchni było wydzielone pomieszczenie piekarni. Piekarzami też byli Niemcy - elita. Robili chleb skwapliwie dosypując piasku, trocin i dolewając więcej wody, żeby waga się zgadzała. Z tego powstawała glina a nie chleb. Do obozu wchodziło się przez bramę nazywaną prachadnaja. Tuż na lewo od bramy była wartownia gdzie siedzieli żołnierze, chyba NKWD, ci którzy nas pilnowali. Ich kwatery były poza obozem, w dwóch piętro-

wych budynkach wojskowych. Zaraz za bramą i wartownią był karcer. Co to było? To był dół wykopany w ziemi ze sklepieniem ziemnym na wierzchu, coś w rodzaju piwnicy. Z boku, czy u góry był mały otwór, przez który delikwenta tam wpuszczano. Ten otwór miał drzwiczki zamykane na kłódkę. Szczególnie morderczym było dla człowieka dostanie się tam w okresie zimy, dlatego, że panowała tam wtedy temperatura ujemna. Ściany były oczywiście zamrożone. Delikwent tam wsadzony nie miał możliwości rozgrzać się. Nie miał tam dużo miejsca. Kto tam siedział, to nie jeden nie przeżył, a ci co wychodzili to albo z zapaleniem płuc, albo z odmrożeniami. Ten karcer był jedną z najstraszniejszych kar w obozie. Za karcerem była pompa, tzw. wodo-kaczka. Też tam siedział "dygnitarz". Pompa była obudowana okrągłą budką. W środku był piecyk. "Dygnitarz" w zimie palił w tym piecyku, żeby woda nie zamrzła. Z budki wystawała rura spustowa, z hakiem, na niego zawieszało się wiadro. Waliko się żelaznym drągiem w tę rurę i krzyczało się - woda! Wtedy mechanizacja zaczynała działać. Wodo-kaczka pompowała wodę do wiadra. Przy czym obie strony zawsze posyłały sobie wiązanki po polsku, rosyjsku, niemiecku. Ale zawsze woda leciała. "Dygnitarzami" byli również "dreworuby", którzy rąbali i dostarczali drzewo do kuchni. Wszystkie funkcje związane z kuchnią, utrzymaniem obozu były traktowane jak przywileje. Tacy "dygnitarze" dostawali kotły do mycia, z tego powodu zawsze mogli skorzystać. Poza barakami, jak się szło główną drogą od bramy, był szpital. To był mały drewniany budynek z dwoma wejściami z przodu i z tyłu. Tam była "umieralnia", tak bym to nazwał,



dlatego, że nie było żadnych leków. Jak ktoś zachorował, albo miał jakąś dolegliwość i dostał się do tego szpitala to przeważnie już żywy nie wychodził. Tam było trochę polskich felczerów, sanitariuszek, które tam pracowały. Był lekarz, choć może nim nie był z wykształcenia, był dopiero studentem medycyny, podawał się jednak za lekarza. Wszyscy starali się robić co tylko w ich mocy, ale nie mieli żadnych lekarstw. Jak ktoś dostał zapalenia płuc, czy czegoś nawet bardziej błachego, to przy dodatkowym głodzie i wycieńczeniu to leżał w szpitalu do momentu aż zmarł. Dalej za szpitalem była straż pożarna, w której pracowali również "dygnitarze". Chociaż nic nie robili, to dostawali lepsze żarcie z kuchni. W straży byli również wybrańcy. Na dachu straży pożarnej była wieżyczka, gdzie zawsze musiał siedzieć dyżurny strażak i obserwować czy coś się nie pali. Poza tym on miał dodatkową funkcję. Miał wybijać mijające godziny. Długim uderzał w stalową szynę, która wisiała na łańcuchu. Ilość uderzeń odpowiadała godzinie. Wg czasu wybijanego przez dyżurnego strażaka odbywało się całe obozowe życie. Obiady były o określonej porze, spanie, pobódka, wszystko wg tego specjalnego "zegara". Oczywiście nie było żadnej dokładności. On miał jakiś zegarek ale nie miał możliwości go regulować. W zasadzie to on z grubsza tę godzinę wybijał. Ponieważ ten obóz był usytuowany na torfowiskach, bagnach, to cała robota łagierszczyków była właśnie na tych bagnach. My tam kopaliśmy torf, wyławialiśmy z wody karcze, zwoziliśmy je żeby było czym palić w kuchni, piekarni, elektrowni i łaźni. Ci, którzy pracowali na torfowiskach, wyciągający i wożący

karcze to oni wszyscy, konwojenci też, co do godziny orientowali się wg uderzeń strażaka. Konwojent usłyszał, że dana godzina minęła, a trzeba powiedzieć ten dźwięk niósł się daleko przez bagna, wtedy regulował początek pracy i powrót do obozu. Obok straży pożarnej były warsztaty i garaże. Tam opanowali wszystko jeńcy niemieccy. Chodzili w wysmarowanych kombinezonach, bo im bardziej były brudne tym za leoszych pracowników ich traktowano. Oni remontowali pojazdy, które tam były. Zawsze mieli zajęcie bo kupa szmelcu leżała na placu. Co oni z tym robili nie wiem. W każdym razie stale pozorowali, że coś robią. Następnym z obiektów była łaźnia, popularnie nazywana bania. Do łaźni pierwszy raz posłali nas po upływie pół roku od przyjazdu do obozu. Można sobie wyobrazić w jakim byliśmy stanie. Koszula była tak brudna, że mogłaby stać na ziemi. W łaźni były piece parowe. Każdy wieszał swoje ciuchy, czy szmaty, na takich wieszakach. Wsadzano je do pieców i napuszczano pary. I o tyle było dobrze, że całe robactwo było tępione. Do mycia dawano nam kostkę / 1 cm<sup>3</sup> / mydła, miskę Zrobioną z blachy po tuszonkach amerykańskich. Tam była specjalna grupa więźniów do wyklepywania ze starych amerykańskich konserw kubeczków, garnuszków i misek. Każdy dostawał miseczkę, trochę gorącej wody, kostkę mydła no i miał się tam myć. Potem brał wciąż brudne ubranie, ale czyszczone ubranie, które było w parze. Później nastąpił taki okres, że do bani pędzono nas co miesiąc. Już było lepiej, to był już luksus. Obok łaźni była elektrownia w jednym budynku z pralnią. Pralnia nie była dla nas, bo nam nikt nie prał. Ona była chyba dla wojska, albo dla jakichś "dygnitarzy". Elektrownia była konieczna z uwagi na to, że najważniej-

szą sprawą było oświetlanie nocą, reflektorami, przestrzeni za drutami, by broń Boże nikt nie zamyślił uciec z obozu. Jeżeli chodzi o obóz to w barakach były jakieś żaróweczki, ale ledwo je było widać. Na jednym drucie wisiała jedna żaróweczka, ciemna, nie dawała prawie żadnego światła. Nie było mowy o czytaniu czy o jakiejś pracy, bo wszędzie było ciemno. Cały obóz był ogrodzony podwójnym drutem kolczastym. Na czterech rogach były wieżyczki, tzw. bociany. Tam siedzieli wartownicy. Nie można było o się zbliżyć do drutów tzn. do zapriethoj zony, bo podnosił się krzyk: "strielat" budu". Pilnowali bardzo ostro. Za tymi drutami, na całym obwodzie obozu, były porobione bunkierki ziemne - zamykane na noc jamy. W nich trzymano psy. Były to specjalne złe psy. Spędzały cały dzień w tych bunkierkach a na noc spuszczano je i mogły biegać wokoło całego obozu. Karmione były dopiero rano. Psy nigdzie nie uciekały, bo rano dostawały miskę z jedzeniem. Zresztą i tak nie miały gdzie uciekać. Wokół obozu były błota i bagna. Rano były karmione i potem, na cały dzień, zamykano je w bunkierkach. Psy śczeły, gryzły się między sobą, może nawet pasły się na trupach.

W środku obozu był plac ~~apelowy~~ spacerowy. Przez pierwsze pół roku to nas na żadne roboty nie ganiano. Tylko o godzinie 10-tej rano było sprzątanie baraków. Cały obóz wyganiano na ten plac apelowy. Wszyscy chodzili w kółko, kobiety i mężczyźni o bladych twarzach. Po placu chodziły szkielety. W tym czasie dyżurni sprząтали baraki. Po tym pierwszym pół roku, późną wiosną, zaczęto nas gonić na roboty poza obóz. Przez bramę wychodziło się piątkami, żeby im było łatwiej liczyć, nie czwórkami, taki jest system wojskowy, tylko piątkami. Dyżurnemu wartownikowi, dowódca konwoju kwitował liczbę ludzi wziętych



i po pracy, powracających. Jak szliśmy do pracy na torfowiska, to wiadomo było, że nikt nie ucieknie, ale jak chodziliśmy na roboty na stację Ostaszków, tam był "Kož-zawod" - fabryka skóry. Później chodziliśmy do sowchozu "Bogoluckoje", wtedy każdy taki konwój łagierszczyków prowadzony przez Ruskich, względnie Rumunów, bo oni też nas konwojowali pod karabinami, to wtedy niosło się na drągu deseczkę z napisem: "Zaprietnaja zona, stoj, strielaju" - strefa zakazana stój bo strzelam. Naokoło miejsca pracy te tabliczki wbijane były w ziemię. W środku tego koła wolno nam było chodzić a konwojenci siedzieli na zewnątrz. Jak ktoś się zbliżał to słyszało się krzyki: "stoj stielaju". Nikt nawet się nie odważył tam podejść bo byłby zastrzelony. Tak było zabezpieczone miejsce naszej pracy. Jeszcze warto by kilka słów powiedzieć o naszym wyżywieniu. A więc rano otrzymywaliśmy tzw. pajkę chleba o wadze 600 g. To nie był chleb w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż mąka była przemieszana z trocinami, zawierała dużo piasku, przez co chleb był wodno-gliniasty. Dla nas wygłodniałych ludzi, wystarczyło wziąć tę pajkę do ręki i szybko znikła w ustach. Do tego dostawaliśmy jeszcze kipjatok, czyli gotowaną wodę i dostawaliśmy jeszcze kostkę cukru i 5 g tytoniu. Tu tworzyła się niezdrowa sytuacja w związku z cukrem i tytoniem. Ci, którzy nie palili, albo starali się nie palić, żeby poprawić sobie byt, handlowali tymi / swoimi / porcjami. Kiedy ubierali większą ilość tytoniu, udawało im się nie raz wymienić to nawet na pajkę chleba. Ta sytuacja sorzyjała powstawaniu antagonizmów. Palacze domagali się oddawania im za darmo racji tytoniu. Natomiast niepalący żądali za tytoń cukru lub

chleba. To była kość niezgody. Na obiad dostawaliśmy 0.5 l zupy. Co to była za zupa? W obozie stacjonowało wojsko, które nas pilnowało. Oni jedli ryby i kartofle. Obierki jakie pozostały po żołnierskim obiedzie, nawet nie płukane z piasku, oraz niedojedzone ryby wrzucano do kotłów i z tego gotowano zupę. Były w niej jeszcze pro forma kawałki mięsa z amerykańskich puszek tuszonki. Ale czy kucharz wrzucił 2 czy 3 puszki na 2000 osób, to sprawa bardzo wątpliwa. Kucharzami byli Niemcy. Najprawdopodobniej sami zjadali to mięso. Jak na dnie miski znalazło się obierkę z ziemniaka lub rybi łeb, czy ogon to była wielka frajda. To była rozgotowana paćka, breja, na dnie której zawsze była ziemia. Na drugie danie, proszę uważać, dostawaliśmy jedną łyżkę kaszy. Nie była to czubata łyżka lecz "ściągnięta" deseczką. Jedna płaska łyżka kaszy. To był nasz obiad. Przy wydawaniu porcji kaszy były wielkie kłótnie. Jeżeli ktoś kto otrzymywał kaszę zobaczył, że zostało na niej choć jedno ziarnko, to się rzucał jak tygrys, że to ziarnko mu się jeszcze należy. Na kolację dostawaliśmy tylko kipjatok, czyli wrzątek. Trzeba było mieć połowę pajki na kolację, co było prawie niemożliwe. Raz, że człowiek był tak głodny, że zjadał od razu a gdyby chciał schować to na pewno by mu ją ukradziono. Tak wyglądał nasz wikt. Proszę sobie teraz wyobrazić jak można było na tym wikcie przeżyć. Ludzie próbowali handlować. Za buty wyłudzano pajkę chleba. Wszystko zmierzało ku temu aby upokorzyć i upodlić ludzi. Ci, którzy pracowali w "Kož-zawodzie", w Ostaszkowie, byli w lepszej sytuacji. Po drodze mogli zbierać wyrzucane z pociągów papierki. Był to dobry towar handlowy. Za takie papierki mogli zdo-

bywać kostki cukru od palaczy, którzy co prawda mieli tytoń, ale nie dostawali bibułek. Skręty mogli robić z papierków znalezionych, na trasie do pracy, przez innych łagierszczyków. Jedni potrzebowali palić, drudzy musieli jeść. Tam nie było żadnych kompromisów, to było bezwzględna walka o byt. Co do naszych "opiekunów" to komendantem obozu był pułkownik Żurawlew. To była postać dla mnie nieokreślona, był NKWDzistą, przychodził do obozu ~~razem~~ rzadko. Jeśli przyszedł, to na taką dobroduszną pogawędkę typu: "Szto u was, kak żiwotie" On się nie demaskował, raczej uchodził za dobrodusznika. Natomiast było dwóch NKWDzistów, z których szczególnie jeden pozostawił po sobie bardzo niedobrą pamięć. Jeden nazywał się lejtnant Edwardow, popularnie w obozie był zwany "Cap-carap". Mówił, że każdy Polak to cap-carap, zawsze chce coś ukraść i stąd wzięło się przezwisko. Chodził z kijkiem i lał kogo tylko spotkał. Szczególnie lubił bić w głowę. Kiedyś mnie uderzył, to długo na głowie miałem dużą śliwkę. Ten "Cap-carap" miał jedną cechę pozytywną - był bardzo krzykliwy. I gdy zbliżał się, to wszyscy o tym wiedzieli. Wszystkich kogo tylko mógł to rugał. Każdy chował się gdzie popadło. Potrafił nawet zastrzelić człowieka. Jeden to podobno chciał uciekać, z jakiejś roboty, więc zastrzelił go w obozie. To pokazuje kim był Edwardow. Drugim był lejtnant Baradawkin zwany "Kaczy-łob", dlatego, że nasuwał sobie czapkę z tyłu głowy na czoło i przez to stawał się podobny do kaczki. Ten może nie był taki groźny, ale był za to głupi. W każdym razie też dał się nam we znaki. Ci dwaj trzymali cały porządek w obozie. Zawsze któryś miał dyżur i robił



swoje prządki. Poza nimi były zwykłe "sołdaty", wykonujący rozkazy i niczym szczególnym nie wyróżniali się. Nie widziałem z ich strony żadnego okrucieństwa. Natomiast ci dwaj to były okazy. Wszyscy, którzy byli w Ostaszkowie to tych dwóch pamiętają i pamiętać będą do końca życia.

Teraz na temat samych robót. Ruscy konwojenci sami nas uczyli, jak należy w rosyjskim systemie pracować. Bez ich nauk to trudniej byłoby nam przetrwać. Jak szliśmy do roboty poza obręb obozu, to mieliśmy pracę do wykonania o określone normie dziennej. To było zupełnie nie możliwe. Ludzie byli słabi, poza tym te normy były bardzo wysokie. Trzeba było wykopać ileś cegiełek torfu, na stacji trzeba było załadować lub wyładować ileś wagonów drzewa, czy węgla. To w ogóle nie było na nasze siły, tym bardziej, że to było zamrożnięte. Jeżeli ktoś nie wyrobił normy, to dostawał zmniejszoną porcję chleba z 600 na 400 g. Jak przekroczył normę to dostawał większą porcję chleba - 800 g. Zasada ta była jednak tylko teorią. Sami ruscy konwojenci pokazywali nam jak należy robić. Jako przykład podam naszą pracę na torfowisku. Byliśmy podzieleni na tzw. zwiena. Każde liczyło 3 osoby. Normą dla takiego zwiena było wykopanie 3000 cegiełek torfu i poukładać w kupki aby mógł je suszyć wiatr. Taka ilość była dla nas niewykonalna. Cała operacja polegała na wyniesieniu cegiełki z dołu, przeniesieniu, za pomocą nosideł i ułożeniu na stertę. Cegła taka była nasiąknięta wodą, przez co potwornie ciężka. Wszystko co nam się udawało zrobić to w granicach 200-300 szt. Wieczorem przychodziła dziewczyna z "Kozawodu", ten torf tam właśnie szedł, obliczała, które kupki

my zrobiliśmy i to sobie ewidencjonowała. My powiedzieliśmy, że nie zrobimy tego, za to zabiorą nam chleb bo nie wykonujemy normy, co robić? A konwojent mówi, wy głupi, patrzcie. Ona wam odbiera te kupki i przy tym wpina w nie gałazki, zaznacza już odebrane. Przenieście te gałazki parę rzędów do tyłu. To jednak nie wszystko, bo te co wykopaliście są mokre a tamte już wyschły, ona pozna się na tym. Przenieście gałazki do tyłu i wodą polejcie już wyschnięte kupki z torfem. My tak zrobiliśmy. Ona przyszła i mówi: "wot maładcy, wy to zrobiliście, to jest mokre" i odebrała. I w ten sposób przez dłuższy czas wykonywaliśmy tę normę. Pola torfowe były olbrzymie i stale w innym miejscu się robiło. Nie można było nigdy sprawdzić gdzie, kto i ile zrobił. Dzięki radom konwojenta my tę normę wykonywaliśmy, polewając tylko kupki z suchym torfem i przenosząc gałazki do tyłu. Cały dzień leżeliśmy sobie przy ognisku i gadaliśmy. Drugi przykład jaki chcę podać to jak pracowaliśmy na stacji w Ostaszkanie. Przyszedł cały pociąg pełen drzewa. Każde zwieno miało do rozładowania jeden taki wagon. Drzewo po rozładowaniu trzeba było poukładać na placu magazynowym koło torów. To również było dla nas niemożliwe do zrobienia. Jak taki olbrzymi wagon rozładować? Kiedy rozsunęliśmy drzwi wagonu, tam ktoś wszedł na górę, wyrzucił kilka tych drew i nagle mówi: "koledzy przecież tu są pustki po bokach wagonu, tylko przy drzwiach jest załadowane". My to wyładowaliśmy wykonując oczywiście normę. Co się okazuje, że inni łagierszczycy w jakimś lesie ładowali to drzewo i też musieli normę wykonać. Ładowali więc tylko przy drzwiach po bokach zostawiając wolne miejsce. W ten sposób żyliśmy, poda-

ję przykład naszego stosunku do pracy. Człowiek nauczył się różnych takich sztuczek, bo do każdego systemu trzeba się przystosować, trzeba nauczyć się żyć. To była jedna z norm, którą stamtąd wyniosłem.

Obóz Ostaszków położony był ok. 6 km od stacji kolejowej i od miasteczka o tej samej nazwie. W zimie można było do obozu dojść krótszą drogą przez zamrożnięte jezioro Seliger. Z niego wypływa Wołga. Na tym jeziorze były wyspy a na nich obozy. W 1939 roku był tam obóz dla polskich oficerów i żandarmerii. Cały rejon Ostaszkowa krył w sobie takie właśnie obozy. Mój obóz nie znajdował się na wyspie. Z naszego obozu widać było dużo innych, widać było dymy z kominów. Jednak przedwojenni policjanci siedzieli również i w naszym obozie. Na to mieliśmy dowody. W baraku nr 1, w którym i ja w tym czasie przebywałem, były przegniłe deski w podłodze. Jedna z desek złamała się i znaleźliśmy pod nią blaszki, odznaki identyfikacyjne polskiej policji. Z jednej strony był orzeł w koronie i napis Policja Państwowa, z drugiej nr policjanta. Żeby te znaczki przechować dla potomności, wszystkim, którzy byli zwalniani z obozu, dawaliśmy po kilka takich znaczków. Jeden nie brał wszystkich, bo gdyby znaleźli, wszystko by przepadło. W ten sposób była szansa, że coś zostanie dowiedzione do Polski. Jak ja wracałem to miałem ze sobą dwa takie znaczki. Przywiozłem je i w Warszawie zostałem skontaktowany z ludźmi z dawnej siatki AK, którzy to ode mnie przejęli. Zobowiązali się po numerach odnaleźć rodziny i im te znaczki z Ostaszkowa oddać. To tyle na ten temat.

Dla uzupełnienia chcę podać, że znalezione znaczki znaj-



dowały się w zbutwiałej czapce policyjnej.

Zmniejszający się stan osobowy w obozie, stale był uzupełniany przez nowe transporty przybywające z Polski. Nigdy nie było tak, że w skutek wysokiej umieralności, stan się zmniejszał. Zawsze przyjeżdżały transporty z ziem wschodnich - Wilna i Białegostoku. W połowie 1945 roku część ludzi siedzących w obozie została wydzielona i wysłana do obozu w Riazaniu. Tak nam mówiono. Rzeczywiście odesłano ich do Riazania. Na ich miejsce przybyła nowa grupa Wilnian. Pod koniec 1945 roku w obozie zaczęły się wielkie przesłuchania NKWD. Przyjechała jakaś komisja NKWD, która wzywała poszczególne osoby i przesłuchiwała je. Przeprowadzali selekcję ludzi. Mnie również wezwali. Pierwsza moja wpadka była gdy NKWDzista zaczął pytać mnie o życiorys, który mówiłem rok temu w Białymstoku. Wtedy, jak już wspominałem, plotłem trzy po trzy. Nic się nie zgadzało, wszystko było inaczej, nawet podałem wtedy nieprawdziwe nazwisko. Nazywałem się wtedy Jerzy Wierciński i pomyliłem nawet imię, i datę urodzenia. NKWDzista popatrzył na mnie i mówi / po polsku /, bo pochodził ze Lwowa lub Tarnopola, "czy ty chcesz wrócić do Polski, czy nie?". Ja mówię, oczywiście, że chcę. Czemu tu nic się nie zgadza? Ja mówię: wiem, wtedy w strachu mówiłem bzdury, ale teraz będę mówił całą prawdę. On na to: "teraz to nie ważne co powiesz, umiesz po rusku czytać?" Tak. Masz to coś zeznać, siedź i ucz się. Na pamięć się tego naucz. Jutro lub pojutrze przyjedzie tu major, z Moskwy, to on cię tak załatwi, że żywy stąd nie wyjdiesz. Dał mi moje zeznanie i ja nauczyłem się go na pamięć. Potem on mnie przepisał i mówi to idź teraz. Rzeczywiście za 2, 3 dni wyzwał

mnie ten major NKWDzista i zaczął mnie przesłuchiwać. Pytał, pytał, maglował. No i odesłał mnie. Okazało się, że ja wróciłem tylko dzięki temu właśnie, że znałem swoje zeznanie. Zakwalifikowali mnie na transport powrotny do Polski. Natomiast mój kolega, który trafił na innego NKWDzistę, poplątał się w zeznaniach i przez to siedział jeszcze 4 lata. Tak więc miałem dużo szczęścia trafiając na dziwnego, nietypowego NKWDzistę. Chcę jeszcze dodać taką rzecz. Mianowicie ucząc się swojego życiorysu z akt, zauważyłem kto mnie wsypał, kto zakwalifikował mnie do obozu w Ostaszkowie i innych ludzi też sypał. Wobec tego po powrocie do Polski, udałem się na miejsce swego dawnego zakwaterowania, gdzie mnie aresztowano. Dowiedziałem się, że ta osoba, która robiła listy i sypała, to był jeden Białorusin. Polskie podziemie wydało na niego wyrok i zlikwidowało.

Po zakwalifikowaniu mnie do powrotu do Polski, to było w styczniu 1946 roku, oglądani byliśmy przez sowiecką lekar<sup>c</sup>kę. Ona dosyć pobieżnie nas badała, sprawdzała czy mamy dobre ubrania. Jak było złe to dawała jakieś lepsze szmaty. Starala się jak mogła. Jeśli chodzi o ubranie, to poprzednio nie mówiłem, ale nie mieliśmy w co się ubrać. Przywożono z frontu całe stosy ubrań po zastrzelonych żołnierzach. Były tam wacia<sup>k</sup>ki, mundury, koszule, wszystko pokrzwawione, poprzesztrzelane. Rzucano to na kupę, my wybieraliśmy to co komu pasowało. Zawsze to człowiek coś tam sobie wyszukał i mógł się ogrzać. Ja wróciłem do Polski jak chochoł, jak dziad. Byłem pookręcany szmatami, aż wstydzilem się w kraju wyjść na ulicę, żeby nikt nie oglądał takiego dziada. Jechaliśmy krócej, bo tylko tydzień

pod konwojem, ale w każdym wagonie był już piecyk, w którym mogliśmy już palić drzewem, dostawaliśmy wodę, chleb. Bez porównania lepiej było niż w tamtą stronę, ale konwój był ostry. Nie można było wychodzić z wagonu, tylko za potrzebą. Pociąg stawał, konwojenci obok, potem zawsze nas liczyli. Jak dojechaliśmy do Polski, to pierwszą stacją był Terespol. Powiało jakimś lepszym życiem, bo na stacjach czekał już komitet obywatelski. Widocznie na inne transporty też czekał i do wagonu każdy dostał pachnący, pięknie wypieczony bochen chleba. Jak to wspominam to mi się łzy cisną do oczu. Pamiętam jak płakaliśmy jedząc ten chleb. Cały taki bochen to pochłanialiśmy od razu. Wypuszczono nas w Białej Podlaskiej i o dziwo nie było już wtedy żadnego konwojenta - zniknęli, ulotnili się. Wagony otwierały się, czekali już tam na nas obywatele, którzy brali nas do swych domów, żeby nas nakarmić, umyć, itd. Pierwszą czynnością była wizyta w Urzędzie Bezpieczeństwa. Tam nas rejestrowano, robiono nam zdjęcia, wydawano zaświadczenia i dopiero wtedy mogliśmy iść na kwaterę. Ja krępowałem się, bo wraz z kolegą byłem zaproszony przez nauczycielkę. Była młoda. My byliśmy zawszeni, brudni. Powiedziałem, że w łóżku nie będę spać, niech mi pościele pod drzwiami lub w korytarzu. Karmiła nas ~~na~~spaniale, wszystko co miała tylko najlepszego. Ja po każdym jedzeniu dostawałem gorączki i puchłem jak bania. Ledwo mogłem patrzeć. Tak reagowałem na długi okres głodowania. Po powrocie ważyłem 46 kg. To była połowa mojej normalnej wagi. Normalnie ważyłem ok. 100 kg a teraz ponad 90 kg. Człowiek jak się dorwał do jedzenia to by jadł wiadrami. To mi przeszło z biegiem czasu. Pamiętam jak przyjechałem do Warszawy



Tam było kilka lub kilkanaście punktów gdzie wydawano np. kaszę dla repatriantów. Cały dzień chodziłem od jednego kotła do drugiego. Potem szukałem ubikacji i puchłem, i tak w kółko. Ale chęć jedzenia była bardzo silna.

Wróciłem jakoś do normalnego stanu. Dla uzupełnienia stosunków panujących w obozie chciałbym dodać, że ok. lata 1945 roku powstało, nie wiem czy samorzutnie czy inspirowane przez kogoś, Towarzystwo Demokratów. Zasięg jego działania obejmował tylko obóz w Ostaszkowie. Członkami byli ludzie komunizujący. Byli tam nauczyciele, oficer na rekonwalescencji, porucznik Wawrzaszek, który miał prawo wychodzić poza obóz. Było jeszcze kilku spośród więźniów należących albo z przekonania, albo dla polepszenia sobie bytu. Prowadzili akcje propagandowe, pogadanki na tematy drażliwe, które starali się nam wytłumaczyć. Nikt zresztą nie dawał wiary w to co oni mówili, przedsawiali zupełnie inny światopogląd. Wydawali gazetkę ścienną, określali kto jest reakcjonistą. Jednych piętnowali w tej gazetce, drugich chwalili. Ja oczywiście należałem jako młody niedoświadczony chłopak do reakcji. Tak, że na mnie szybko się poznali. Mój światopogląd był inny od ich. Naraziłem się Towarzystwu. Na gazetce, pewnego dnia, to już była jesień 1945 roku, ukazała się lista 50-ciu reakcjonistów, którzy do Polski nie powinni wrócić a jeśli wrócą to będą sądzeni przez polski naród jako zdrajcy, faszyci, itp. Ja na tej liście figurowałem jako Stefan Gierczyński pod numerem 6-ym. Pamiętam, że trochę się tym martwiłem, że do Polski nie wrócę. Ale jak się okazało NKWD po swojej linii typowało i w ogóle nie brało pod uwagę to co tamci wymyślali. Jeszcze jedna sprawa. Byłem w Białymstoku w 1946

czy 1947 roku, nie jestem pewien i ze zdziwieniem przeczytałem jeden nekrolog. Otóż, Marcin Szleger wraz z całą rodziną, został zamordowany przez polskie reakcyjne podziemie. Okazało się, że był on jednym z twórców tego Towarzystwa Demokratów u nas w obozie. Prawdopodobnie ktoś z Białegostoku wrócił i prawdopodobnie wydali na niego wyrok i ktoś go ~~KaKaKa~~ rąbnął,